

NAUKA RÓWNOŚĆ PŁCI TO ILUZJA

Równouprawnienie nie ma szans w starciu z biologią – mówi antropolog prof. **Bogusław Pawłowski***

Niech żyją różnice płci

TOMASZ ULANOWSKI: Kiedy zrobiono badania genetyczne w Ameryce Południowej, okazało się, że 95 proc. jej mieszkańców pochodzi od europejskiego praojca i czarnej albo indiańskiej pramatki...

PROF. BOGUSŁAW PAWŁOWSKI: A niektóre badania i oparta na nich hipoteza wskazują, że aż kilka procent mężczyzn w Europie i części Azji może być potomkami Czyngis-chana. Ten wielki zdobywca był nie tylko jurny, ale też nie pytał kobiet o zgodę.

Ja nazywam taki typ medaliści. Jak wśród plemników jest tylko jeden, któremu udaje się zapłodnić komórkę jajową, tak wśród mężczyzn jest silna konkurencja, który przekaże dalej swój materiał genetyczny. Zawsze są zwycięzcy i przegrani. Prawdziwych zwycięzców jest niewielu. To ci, których geny mają wyjątkową siłę przebicia. Badania wykonane w Australii jeszcze przed II wojną światową pokazały, że 11 proc. mężczyzn w tej populacji było ojcami aż połowy wszystkich żyjących tam dzieci.

Ale jak to było w Ameryce Południowej? Biali mężczyźni wyróżnili tubylców płci męskiej i przejęli ich kobiety?

- Niekoniecznie od razu wyróżnili, bo ludność miejscową trapiły też zaważone tam z Europy różne choroby infekcyjne. Oczywiście bez przemocy się nie obyło, ale biali mężczyźni stał po prostu wyżej w hierarchii niż tubylec. Był więc dla miejscowych kobiet „towarem pożądanym”. Był na niego większy popyt.

Kobiety lubią zwycięzców?

- Zazwyczaj tych, którzy mają większe zasoby - ziemię, bydło czy pieniądze. Bo zapewniają większe bezpieczeństwo potomstwu. Z badań przeprowadzonych w Kanadzie wynika, że najwięcej partnerek czy kochanek mają ci najzasobniejsi.

A co mężczyźni cenią u kobiet?

- Wiek i skorelowana z nim fizyczna atrakcyjność. Młodsza kobieta może urodzić wiele dzieci. I tak patrzy na nią przeciętny mężczyzna. To kwestia selekcji, która ze względu na to, że tacy mężczyźni osiągaliby większy sukces reprodukcyjny, premiowała takie właśnie męskie preferencje. Musimy jednak pamiętać, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety dostosowują swoją strategię seksualną do sytuacji. Np. kiedy w populacji jest dużo kobiet, a mało mężczyzn, to one się stroją, a oni mogą wybierać. Kiedy sytuacja jest odwrotna, to mężczyźni walczą o kobiety. U małp jest tak samo. Wystarczy sama proporcja płci, żeby zachowania seksualne radykalnie się zmieniły.

Dobrze to widać na amerykańskich uniwersytetach. Kiedyś przeważająca większość studiujących to byli mężczyźni. Strasznie musieli się wtedy natrudzić, zabiegając o swoje nieliczne koleżanki. Przyносили im kwiaty, często zapraszali na kolację itd. Te zaloty trwały czasami miesiącami. A teraz? Liczba kobiet studiujących na



JACEK GAWŁOWSKI

Równouprawnienie kobiet, dostępność antykoncepcji, przesuwanie decyzji o urodzeniu dziecka rodzą problem. Kiepski przyrost naturalny

amerykańskich uczelniach przewyższyła liczbę mężczyzn. Studentki, rywalizując między sobą, dostosowują się do męskich wymagań. Żadnych kwiatów, ale za to seks już na pierwszej randce.

Jesteśmy więc niewolnikami biologii? Kulturowo chcielibyśmy równouprawnienia płci, ale nie jest ono zgodne z naszą naturą. Mężczyźni walczą o status materialny i chcą dominować, a kobiety nie mogą się uwolnić od rodzenia dzieci. Zatem to one szczególnie cierpią, miotając się pomiędzy domem a pracą. Są ciekawe świata, ale jednocześnie mają wyrzuty sumienia, że realizując swoje pasje, stają się gorszymi mamami.

- Można powiedzieć, że nierzadko kultura prowadzi wojnę z biologią, ale w dłuższej perspektywie czasowej nie ma w niej szans. Świat nie to obrazują różne utopijne komuny, które albo szybko się rozpadają, albo przekształcały w społeczeństwo trawione wszelkimi naturalnymi przyzwyczajeniami *Homo sapiens*. Także równouprawnienie przeżywa z ludzką naturą.

Są tacy, którzy twierdzą, że to patriarchalna kultura jest winna tego, iż mężczyźni żyją krócej. Tomasz Żuradzki napisał w tekście „Mężczyźni mają gorzej” opublikowanym w marcu w „Gazecie”, że kiedy my zabijamy się w pogoni za władzą, prestiżem i pieniędzmi, kobiety wybierają lżejsze zawody, są lepiej wykształcone i zdrowsze. I żyją dłużej.

- Podobne różnice w zdrowiu i długości życia pomiędzy samcami a samicami występują u świń czy u szczurów. To samo można by powiedzieć o każdym ssaku. I nie dlatego, że społeczności świń nakładają na knury jakieś wyjątkowe obciążenia.

Popatrzmy na chłopców do czwartego roku życia. Kto im każe zdobywać jakąś pozycję, walczyć o prestiż? A panuje wśród nich śmiertelność o połowę wyższa niż wśród dziewczyn.

Jeżeli spojrzymy na dane historyczne, jeszcze do XIX w., to okaże się, że wtedy umierało więcej kobiet, a nie mężczyzn. Mimo „patriarchalnej kultury zabójczej dla mężczyzn”.

Dlaczego? Bo wtedy panowała wysoka śmiertelność okoloporodowa.

W USA robiono badanie, w którym porównywano długość życia mnichów i mniszek. Modlą się, medytują, wiodą życie bez stresów. No i co się okazało? Co prawda i jedni, i drudzy żyją dłużej niż świeccy, ale ciągle widać różnicę pomiędzy płciami. Mniszki przeżywają mnichów o kilka lat.

Mężczyzna może żyć tak samo długo jak kobieta. Wystarczy go wykastrować. Oczywiście nie w 60. roku życia, tylko wtedy, kiedy jest młody. Problem nie tkwi więc w kulturze czy aspektach społecznych.

Dlaczego więc żyjemy krócej niż kobiety?

- Przez testosteron. Ten męski hormon jest toksyczny i obniża odporność. Ale u mężczyzny ważna jest sprawność seksualna. Dlatego pomiędzy 18. a 50. rokiem życia dostaje maksymalną dawkę hormonów płciowych. W tym okresie życia ma być jak najbardziej jurny.

Trudno mówić, że jedna płęć ma lepiej, a druga gorzej. Każda ma inaczej. Jesteśmy różni, ale na szczęście wzajemnie się uzupełniamy. I głównie decyduje o tym biologia, a nie kultura.

Nawet kiedy przeprowadzono badania nad koczkodanami, dając im do zabawy różne przedmioty, to samce wybierały częściej samochodziki albo piłki, a samice lalki. Faceci już od dzieciństwa są bardziej zainteresowani klockami, figurami geometrycznymi, budując struktury pionowe, jeśli rysują, to wolą zimne kolory, np. niebieski. A dziewczynki budują w poziomie, częściej rysują twarze ludzkie, postacie, używają koloru czerwonego, żółtego. To zresztą widać potem w zawodach, które wybierają.

Nie popadajmy więc w przesadę z tą równością.

Za podobne uwagi prezydent Uniwersytetu Harvarda prof. Lawrence Summers stracił dwa lata temu stanowisko.

- Ale ja nie powiedziałem, że kobiety nie nadają się do matematyki czy fizyki. Statystyki jednak są nieublagane, o wiele więcej genialnych matematyków jest wśród mężczyzn. **Być może dlatego, że od dziecka dziewczynki i chłopcy uczą się ról społecznych.**

- Nie. Po prostu u mężczyzn rozpiętość wszystkich cech jest większa niż u kobiet. Tak jak mogą mieć setkę dzieci albo o wiele częściej niż kobiety żadnego, tak więcej wśród nich jest i geniuszy, i idiotów. I wszyscy się spierają o tych geniuszy. Więcej męskich kretynów jakoś nikomu nie wadzi.

Kultura nie jest w stanie zniszczyć różnicy zainteresowań pomiędzy chłopcami a dziewczynkami. Wystarczy spojrzeć na izraelskie kibuce. Przez kilkadziesiąt lat edukowano tam, i to od niemowlęcia, obie płcie w identyczny sposób. Wydawało się, że to sposób na to, aby proporcja mężczyzn i kobiet w różnych zawodach była potem bardziej wyrównana. I co? I tak potem nauczycielkami czy pielęgniarkami zostawały o wiele częściej kobiety, a inżynierami czy biznesmenami mężczyźni.

Odrzuca pan wpływ wychowania na nasze życie?

- Nie, po prostu podkreślam wpływ biologii. On jest najważniejszy.

Najnowsze badania pokazują, że co najmniej kilkadziesiąt genów ulega innej ekspresji w ssaczym mózgu zarodka męskiego i żeńskiego, zanim jeszcze ukształtowane są gonady i wpływ na kształtowanie się mózgu zaczyna mieć hormony płciowe.

Weźmy np. takie schorzenie - wrodzony przerost nadnerczy. Brak jednego enzymu, jeszcze w fazie płodowej, powoduje, że nadnercza nie produkują kortyzolu i aldosteronu. Więc co robi organizm? Uznaje, że widocznie nadnercza są za słabo rozwinięte, i pobudza je do wzrostu. Ale takie większe nadnercza produkują za to więcej androgenów, męskich hormonów płciowych, których wcale nie brakowało. I jeżeli taka sytuacja zdarzy się u dziewczynki, to wyrasta z niej chłopczyca. Jeden drobny enzym zmienia jej mózg i życie.

To zresztą dotyczy nie tylko różnic między płciami. Śmieszają mnie np. ci wszyscy szaleńcy, którzy straszą homoseksualistami i chcą ich leczyć. Leczyć! Samo określenie „preferencja seksualna” jest bardzo nieodpowiednie. Równie dobrze można by powiedzieć, że ktoś ma preferencję do niebieskich oczu albo haczykowatego nosa. To nie jest sprawa wolnego wyboru. Możemy sobie decydować, że dzisiaj zjemy na obiad pierogi albo schabowego. Ale decyzja o homoseksualizmie czy heteroseksualizmie najczęściej zapada w prenatalnym okresie rozwoju osobniczego, a zatem jeszcze przed urodzeniem.

Czy w pana rodzinie panuje równouprawnienie?

- Oczywiście. Każde z nas robi to, co lubi. Kiedyś byłem na stypendium w Wielkiej Brytanii i na jakiś czas przyjechała do mnie żona. Poznaliśmy tam parę Amerykanów, którzy dzielili się obowiązkami po równo. Jeśli w poniedziałek on gotował obiad, to we wtorek ona. I tak na przemian. W niedzielę chodzili do restauracji. I kiedy ona dowiedziała się, że u nas głównie żona zajmuje się domem, próbowała ją przekonać, że się jej dzieje krzywda. Ale w końcu to moja żona przekonała jej męża, że jest ofiarą w swoim związku.

Konflikt między płciami jest naturalny. Wynika z tego, że one po części mają rozbieżne interesy. Taki konflikt istnieje nawet pomiędzy matką a płodem. Dziecko chce się jak najszybciej rozwijać, w związku z tym maksymalnie eksploatować organizm matki. A matka owszem - pozwala mu na rozwój, ale bez przesady, nie może dopuścić, by na tym za bardzo ucierpiała, przecież ona też musi być ciągle zdolna urodzić i inwestować w następne dzieci.

Główny konflikt damsko-męski polega na tym, że to kobieta więcej inwestuje w potomstwo - tak jest u wszystkich ssaków - np. w okresie ciąży potrzebuje dodatkowo średnio ok. 500 kalorii dziennie. A mężczyzna nie tylko

nie ponosi kosztów brzemienności swojej partnerki, ale może w tym czasie zapładniać inne kobiety. Potem ona rodzi i karmi, a więc ponownie ogromny wysiłek. A on znów - hulaj dusza. Kobieta inwestuje więc w jakość swojego potomstwa. Mężczyzna może w ilość. To zupełnie odmienne strategie reprodukcyjne.

Sądzi pan, że pełne równouprawnienie jest...

- Możliwe, ale kosztem kobiety. Badania statystyczne przeprowadzone w Unii Europejskiej pokazują, że im wyższy status zawodowy kobiety, tym mniej rodzi dzieci. Połowa europejskich dyrektorek nie ma potomstwa. Te kobiety, które są zawodowo nieaktywne, np. prowadzą dom, odnoszą większy sukces reprodukcyjny.

Zależy, co dla kogo jest ważne. Niektóre kobiety wolą się rozwijać zawodowo.

- No jasne, ale z biologicznego punktu widzenia liczy się przede wszystkim przekazanie dalej swoich genów. Co więcej, myślę, że również dla zasadniczej większości kobiet posiadanie dziecka staje się prędzej czy później - czasami za późno - gorącym pragnieniem. Równouprawnienie kobiet w kulturze Zachodu, dostępność antykoncepcji, ambicje zawodowe, ciągłe przesuwanie decyzji o urodzeniu dziecka rodzą więc problem. Kiepski przyrost naturalny.



Kiedy badano koczkodany, dając im do zabawy różne przedmioty, to samce wybierały częściej samochodziki albo piłki, a samice lalki



I najlepsze geny wykształconych kobiet się marnują?

- To, co powiem, będzie może nieprzyjemne, ale nie z każdego dziecka da się zrobić geniusza. „Dajcie mi tuzin zdrowych dzieci i określone przeze mnie warunki środowiskowe, w których będą je wychowywał, a gwarantuję, że po przypadkowym wybraniu któregoś z nich wykształcę go na takiego specjalistę, jakiego będę chciał - lekarza, prawnika, artystę, nawet żebraka i złodzieja, niezależnie od jego talentu, tendencji, zdolności i rasy jego przodków” - mówił John Watson, amerykański psycholog, behawiorysta. To kompletna bzdura. Gdyby tak było, dyktatorzy mogliby dyktować swoimi poddanymi jak lalkami. Na szczęście nikomu nie udało się sprowadzić ludzi do zabawek, tak jak nie z każdego da się zrobić profesora. Wszystko dzięki temu, że jesteśmy na smyczy genów.

Kiedyś kobiety nie studiowały, nie miały szans na awans zawodowy i dzieci rodziły zarówno te inteligentne, jak i te mniej inteligentne. I co się działo? Te mądrzejsze

opiekowały się swoimi pociechami lepiej, może wybierały też lepszych partnerów. A więc ich dzieci miały większą szansę przeżycia. Ze społecznego punktu widzenia była to selekcja pozytywna. A co się dzieje dzisiaj? Kobiety inteligentne, o wyższym statusie społecznym, albo zaczynają rodzić później, albo częściej decydują się na bezdzietność. Mają więc względnie mniej dzieci niż inne kobiety.

Gdyby ciągle działały mechanizmy selekcji naturalnej, to dzieci rodzone przez kobiety mniej mądre częściej nie dożywałyby dorosłości. Możliwe więc, że powoli zmienia się proporcja genów. Te, które kiedyś były premiowane, zaczynają przegrywać z tymi, które kiedyś stały na pozycji przegranej.

Zmierzamy do katastrofy?

- Jestem optymistą i sądzę, że natura sobie poradzi z pewnymi kulturowymi zawirowaniami, które tylko tymczasowo mogą być sprzeczne z naturą. Na przykład jeśli system demokratyczny się nie sprawdzi, natura zastąpi go innym. Słyszałem od kolegi konstytucjonalisty, który zajmuje się demokracją amerykańską, że w tamtejszych elitach dyskutuje się o pomyśle dania prawa wyborczego nawet 14-latkom. Do skończenia 16. roku życia mieliby ćwiczyć głos, a potem, do osiemnastki - pół. Jaki jest argument tych, którzy chcą zmiany? Przekonują, że dzisiejsze życie pędzi jak szalone. Jak więc możemy odmawiać prawa głosu młodym, którzy z internetu wiedzą o świecie czasami więcej niż dziadki rozumiejące świat, którego już nie ma?

Jeżeli to by przeszło, byłibyśmy o krok od parytetu innego rodzaju. Na przykład zależnego od poziomu wykształcenia. System wyborczy dawałby więcej głosów lepiej wykształconym. Zysk byłby podwójny, bo dodatkowo wzrosłaby liczba chętnych do nauki. To są tylko hipotetyczne rozważania, w których nie chcę dokonywać żadnego wartościowania - od tego są inni.

A wracając do przesadnego równouprawnienia - może się ono okazać ślepą uliczką ewolucji. Za kilkaset lat nas już nie będzie, a mieszkający tu przedstawiciele innych współczesnych społeczeństw czy kultur (np. niektórych azjatyckich czy afrykańskich) będą wspominać: „A tak, byli tu kiedyś tacy Europejczycy, których kobiety zapragnęły zachowywać się jak mężczyźni, a mając bardzo skuteczną antykoncepcję, wiele z nich ze względów ambicji zawodowych lub też nadmiernych oczekiwań względem potencjalnego partnera rezygnowało z posiadania dzieci. Już dawno wymarli”. ●

ROZMAWIAŁ TOMASZ ULANOWSKI



***PROF. BOGUSŁAW PAWŁOWSKI**
jest profesorem w Katedrze Antropologii Uniwersytetu Wrocławskiego i kieruje Zakładem Antropologii PAN we Wrocławiu

FELIETON **POLITYCZNY**

RZĄD ŚWIĘTEGO SPOKOJU



MAREK BEYLIN

Gazeta Wyborcza

●● Jakie spory toczą się ostatnio w mediach? Najbardziej gorący to ten, czy Lech Wałęsa był agentem SB. Prym wiodą prezydent i jego doradca prof. Zybertowicz. Z ich dociekań wynika podobna konkluzja: był, a może nawet wciąż jest, wprawdzie w latach 80. dostał dyspensę od SB, by obalić komunizm, ale potem służby znów ścisnęły Wałęsę za gardło. I nie ma dowodu, że już go nie ścisną.

Prezydent w ogóle ocenia przeszłość z rozmachem. Jak opowiedział „Rzeczpospolitej”, agentami byli wszyscy przywódcy strajkowi w sierpniu 1980 r.: Wałęsa, Jurczyk i Sienkiewicz. Okazuje się więc, że niepodległość zawdzięczamy SB. To najnowsze ustalenie państwowotwórczej historiografii.

Kolejna debata medialna rozgrywa się wokół dziewczynki, która zaszła w ciążę. Ale dyskusja o jej prawach i potrzebach, o tym, co powinny robić instytucje publiczne, które odfajkowują sprawę za pomocą bezduszných procedur, przemienia się - dzięki „Rzeczpospolitej” i „Dziennikowi” - w pasjonujący spór o to, czy „Gazeta Wyborcza” chce zabijać nienarodzone dzieci i wykorzystywać nastolatki do ideologicznej krucjaty. Obie redakcje tak ukoili konkluzja, że, owszem, „Gazeta” chce zabijać i wykorzystywać, iż porzuciły inne wątki tej sprawy.

Choćby wątek oczywisty - w dramacie młodej Agaty przejawia się to, jak PO wyobraża sobie politykę: nie mieszać się w nic, co wywołuje kontrowersje. Idealem jest państwo świętego spokoju dla rządzących. PiS, gdy rządził, uważał - prezydent wciąż tak sądzi - że władza może wszystko. Ma prawo decydować, kto jest agentem, przestępcą, zdrajcą. To był patent na rządzenie.

PO - odwrotnie. Pomyślność swych rządów upatruje w tym, że nie staje na placu nawet wtedy, gdy potrzeba. Nawet za cenę lekceważenia praw jednostki.

Coś łączy postawy PiS i Platformy - zajmowanie się swoją władzą kosztem rzeczywistości. Okazało się to zgubne dla PiS. Dziś jako antidotum na historyczną gorączkę państwa Jarosława Kaczyńskiego mamy obojętne, niemal zimne państwo Donalda Tuska. Ale wahadło tak wychylone nie zatrzyma się na długo. Zresztą politycy PO, którzy tak chętnie powołują się na liberalny rodzaj, powinni pamiętać, że w celem liberalizmu wpisane są szczęście i godność jednostek. To sentymentalne przypomnienie wskazuje na prostą regułę: dziś władza, jeśli chce być wiarygodna, musi interweniować wtedy, gdy naruszane są prawa obywateli.

Gdy obserwuję to wycofanie się władzy, te absurdałne dyskusje o przeszłości, myślę sobie, że w naszych ideologicznych sporach największe zwycięstwo odniosła idea ucieczki od rzeczywistości. Dlaczego? Można, rzecz jasna, o „Rzeczpospolitej” powiedzieć: tak kończy pewna formacja konserwatyizmu, która sama wygończyła się z rzeczywistości, brnąc w ślepe dogmaty. Albo przywołać prezydenckie obsesje na temat Wałęsy czy konformizm PO. Albo dowodzić, że jak „Gazeta” napisze zielone, to „Dziennik” - że czerwone.

Jednak problem jest poważniejszy.

W Polsce obrona praw konkretnych skrzywdzonych ludzi rzadko przyjmowana jest ze zrozumieniem. Wywołuje raczej podejrzenia o nieczystą grę, załatwianie swoich interesów. To nie

tylko spadek po rewolucji moralnej. Przez lata, ba, dziesięciolecia, dominowały dyskusje o prawach zbiorowości: społeczeństwa, robotników, inteligencji, wykluczonych, postkomunistów, Kościoła. Dyskutowaliśmy o podstawowych wolnościach i zagrożeniach i były to spory niezbędne. Ale dziś nasza obecność w Europie, przepływ ludzi, wzorów i idei sprawiają, że - tak jak na Zachodzie - obok praw zbiorowych poczesne miejsce zajmują prawa i los jednostek. Demokracja coraz bardziej staje się zbiorem uprawnień pojedynczych ludzi.

W Polsce to dla większości nowina, jeszcze nie potrafimy o tym dyskutować, nie mamy - ani na lewicy, ani na prawicy, ani wśród liberalistów - odpowiedniego języka. Gdy więc wybucha taka sprawa jak Agaty, słysząc tych, którzy sprawy nie rozumieją: że zabójstwo, że krucjata, że sensacja.

Filozof John Stuart Mill napisał taką oto modlitwę liberala: „Panie, oświeć naszych wrogów, wyostż ich dowcip, nadaj stałość i jasność ich władzom umysłowym. Zagraża nam ich szaleństwo, a nie ich mądrość; to ich słabość napawa nas troską, nie ich siła” (cytuje za ciekawym tekstem Lionela Trillinga w ostatnim „Przeglądzie Politycznym”).

Zamieniam wroga na przeciwnika i podpisuję się pod słowami Milla. Mądry przeciwnik to zresztą warunek stabilnej demokracji. Ciekawe, kiedy nasza się ustabilizuje? ●